Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 44 (1932) 2 czerwca 1970 r. Cena 50 gr

SKOK PRZEZ ATLANTYK

NAJODWAŻNIEJSI Z ODWAŻNYCH

NAZYWANO GO „Wielkim Afrykaninem". Przydomek ten przylgnął do Stanisława Skarżyńskiego po słynnym rajdzie afrykańskim 1931 roku, w którym wziął udział wraz z kapitanem Markiewiczem. Zyskana popularność nie cieszyła Skarżyńskiego, on marzył o samotnym locie przez Atlantyk. Tymczasem po nieudanej próbie Idzikowskiego i Kubali, w której ten ostatni utonął w falach oceanu, nie można było uzyskać pozwolenia od międzynarodowej federacji na kolejny przelot. Kapitan Skarżyński w cichym porozumieniu z Aeroklubem Rzeczypospolitej postanawia użyć fortelu. Oficjalnie zgłasza do aeroklubu Francji zawiadomienie, iż pragnie pobić rekord na odcinku Lyon (Francja) — St. Louis (Afryka) lub odwrotnie, a potajemnie przygotowuje się do lotu przez Atlantyk.

Zamiarem kpt. Skarżyńskiego było połączenie przelotu przez ocean z rekordem, pod całkowitą kontrolą komisji sportowej. Było to w tamtych czasach zupełną nowością w lotach transatlantyckich. Dotychczas przelotu nad Południowym Atlantykiem dokonali Hincler i Mollison. Ponieważ jednak samolot ich nie odpowiadał wymogom międzynarodowej komisji sportowej, lotu nie klasyfikowano.

Kapitan Skarżyński wiedział o tym doskonale i dlatego jego RWD-5 bis, który specjalnie przygotowano na tę wyprawę, w zupełności odpowiadał komisji. Lotnik osobiście sprawdzał każdy szczegół, sam odbywał próby w locie, a także — dalekie rajdy kontrolne. Maszyna spisywała się doskonale. Zresztą nasze „erwudziaki" miały wówczas ustaloną międzynarodową renomę.

SP-AJU startuje!

WIOSENNY ranek 27 kwietnia 1933 roku. Na lotnisku Okęcie w Warszawie zebrała się niewielka grupka „wtajemniczonych" w rzeczywiste plany kapitana. Żegnano go bardzo serdecznie, życząc mu spełnienia marzeń — lot przez Atlantyk na jednomiejscowym samolocie był wówczas ogromnym wyczynem sportowym.

C.d. str. 4–5

● OD KIJA DĘBOWEGO DO SZABLI PAWŁOWSKIEGO ● RAZEM OCENIALIŚMY WALKI WE FLORECIE, SZABLI I SZPADZIE ● DLACZEGO DRUHOWIE Z VIIb NIE TRENUJĄ? ● REKORDOWA ILOŚĆ UCZESTNIKÓW SZERMIERCZEGO SPOTKANIA HARCERSKIEJ AKADEMII OLIMPIJSKIEJ ● DUŻE BRAWA DLA SZERMIERZY I TRENERÓW Z OPOLA! ● ZAPRASZAMY TAKŻE NA STR. 4—5.

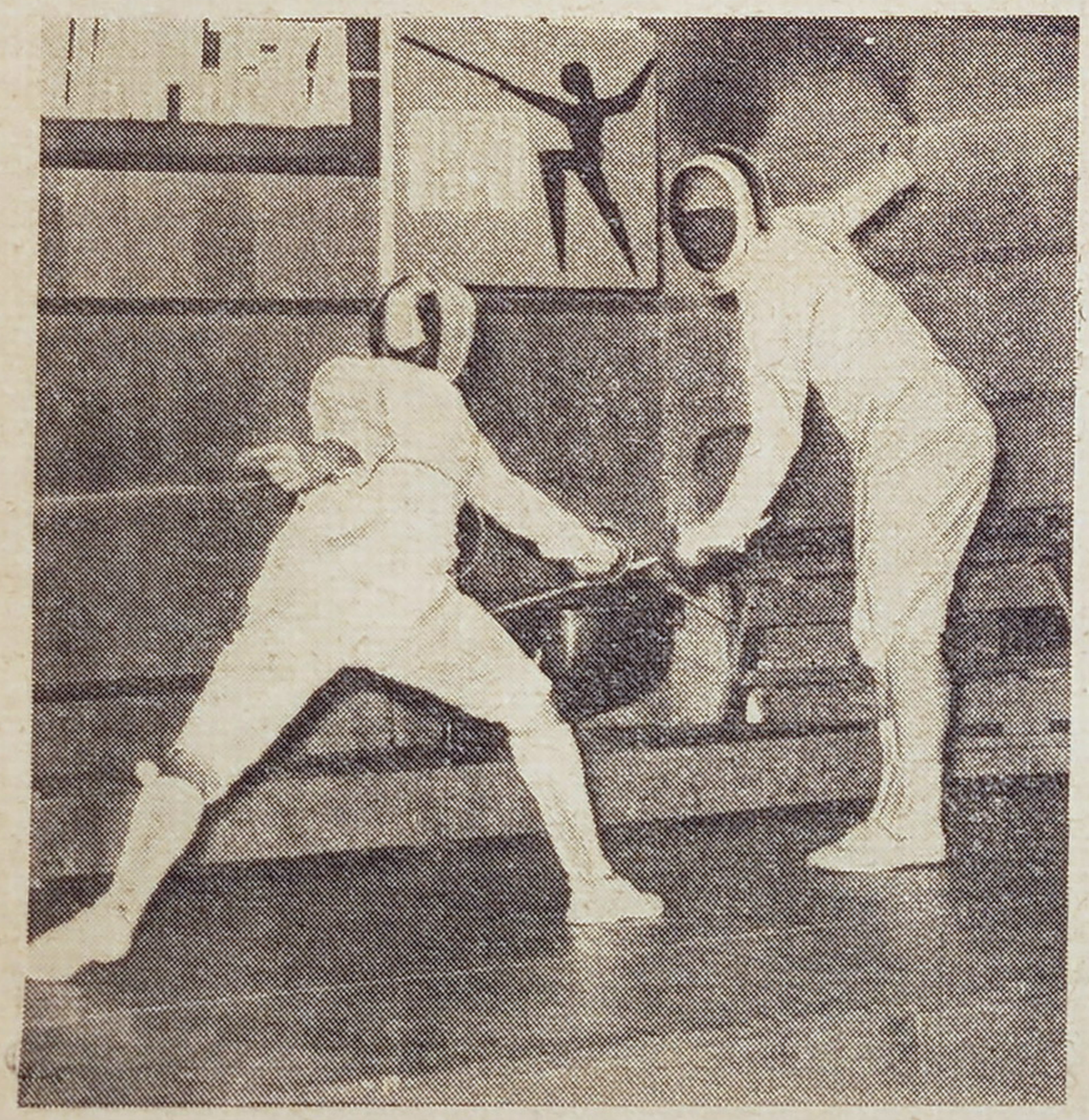

W gościnie u WOŁODYJOWSKICH

TEGO SIĘ NAPRAWDĘ NIE SPODZIEWALIŚMY. Kiedy 25 maja weszliśmy z naszym najlepszym szablistą — Jerzym Pawłowskim — do pięknej sali Państwowej Szkoły Muzycznej w Opolu, powitał nas grzmot oklasków. Ponad 500 harcerek i harcerzy z opolskich szkół podstawowych przybyło na szermiercze spotkanie HAO. Wszyscy w mundurach.

Od harcerek — kwiaty dla Jerzego Pawłowskiego, dla trenerów, gości. Powitania, prezentacje. Potem na sali zalega cisza. Tak właśnie powinno być. Szermiercze spotkania odbywają się w ciszy. Dopiero efektowne trafienia nagradzane są huraganem braw.

Ale na planszę nie wkraczają jeszcze szermierze. Na proscenium, z mikrofonem w ręce ukazuje się red. Jerzy Jabrzemski z „Przeglądu Sportowego". W harcerskim gronie jak przy biwakowym ognisku snuje barwną gawędę: opowiada o dziejach szermierki „od kija dębowego do szabli Pawłowskiego". O walkach szermierczych na dworach faraonów w starożytnym Egipcie, o pojedynkach rzymskich legionistów, średniowiecznych rycerzy, grze w palcaty, przeróżnych „niesmacznych" fortelach w czasie pojedynków. Gawęda fascynuje słuchaczy.

Red. Jabrzemski zwany jest „chodzącą encyklopedią szermierki" — od lat zajmuje się tą dziedziną sportu...

Na scenie pojawia się broń. Teraz pan Włodzimierz Strzyżewski — wiceprzewodniczący Komisji Młodzieżowej ZG Pol. Zw. Szermierczego — demonstruje poszczególne rodzaje broni: szable, szpady i floret. Sam jest szpadzistą, członkiem szermierczej kadry narodowej i wielokrotnym reprezentantem Polski. Omawia sposoby podłączania broni do elektrycznej instalacji.

C. D. strona 4–5

ROZMYŚLANIA PRZY DŹWIĘKACH — „JEDYNEJ PRAWDZIWEJ ORKIESTRY KLUBU SAMOTNYCH SERC SIERŻANTA PIEPRZA„

HOBBY — konik, pasja, czyjeś ulubione zajęcie, traktowane amatorsko, jako przedmiot osobistego zainteresowania i źródło odprężenia w czasie wolnym od pracy zawodowej.

(W. Kopaliński Słownik wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych).

BYŁEM kilka dni temu na wystawie hobbystów Liceum Ogólnokształcącego im. A. Mickiewicza w Warszawie. Niektóre kolekcje zmartwiły mnie trochę...

PIERWSZE WRAŻENIE...

...było, trzeba przyznać, imponujące. W wielkiej sali gimnastycznej rozlokowano kilkadziesiąt stoisk z eksponatami. Na ścianach plakaty, obrazy, rysunki, niewielkie gobeliny własnej roboty. Przy stoiskach tłoczno, ale porządek wzorowy, gdyż każda ekspozycja jest pilnowana. Pod jedną ze ścian ustawiono doskonały, czysto odtwarzający adapter. Słyszę znakomity zespół angielski **The Beatles,** śpiewający pełnym głosem jedną ze swoich najlepszych piosenek, tę o sierżancie Pieprzu patronie Klubu Samotnych Serc...

Jest to już czwarta tego rodzaju wystawa, bierze w niej udział 80 wystawców, organizatorzy stanęli i tym razem na wysokości zadania.

Ale czy to samo można powiedzieć o wszystkich wystawcach?

OGLĄDAM TERAZ EKSPONATY

i coś w tym moim pierwszym pozytywnym odczuciu zaczyna się psuć.

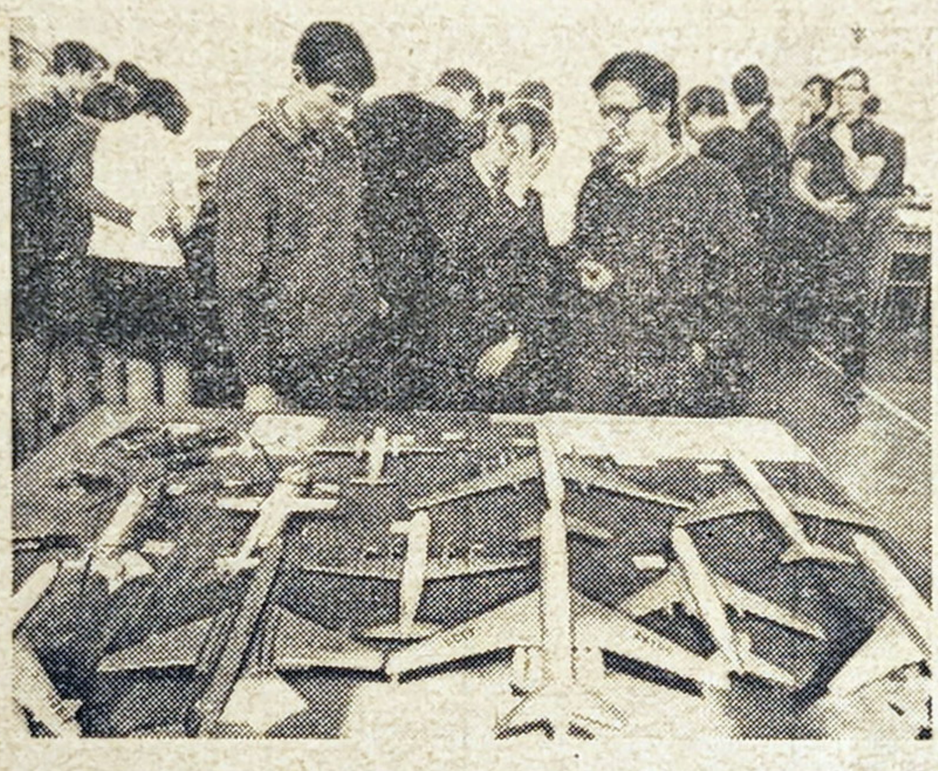

Na jednym ze stoisk zauważam bowiem „całą baterię" zagranicznych... butelek po alkoholu! Jedna z nich jeszcze pełna (a może wlano do niej tylko wodę z barwnikiem?). Czy można takie zbieractwo traktować jako — **„źródło odprężenia w czasie wolnym od pracy"** w szkole? I czy wynika ono naprawdę z **„osobistych zainteresowań"** właścicieli kolekcji? Na te pytania, niestety, odpowiedzieć nie potrafię...

Podobnych pytań zadawałem sobie wiele, bowiem duża część eksponatów sprawiała wrażenie, jak gdyby wystawcy pół swojego życia spędzili za granicami, skupując co się tylko da do swoich zbiorów. Zresztą niektóre kolekcje np. starych książek, sztyletów czy choćby miniaturowych modeli samochodów wraz z torem wyścigowym — przedstawiają sporą wartość i wątpię, czy zdobyte były własnymi siłami.

I tutaj dochodzimy do sedna sprawy. Jeśli **„czyjeś ulubione zajęcie"** polega na zbieraniu rzeczy zakupionych przez rodziców lub stanowiących wręcz ich własność — cała zabawa nie ma najmniejszego sensu. Mój wujek był kolekcjonerem lasek, ale nigdy nikomu do głowy nie przyszło, aby się chwalić jego zbiorem jako własnym. A wystawa, o której piszę, nosiła przecież tytuł: **„MOJE hobby".** To zobowiązuje.

I jeszcze jedno. Prawdziwy hobbysta stara się kolekcjonować albo rzeczy dziwne i rzadkie (niekoniecznie drogie), albo takie, które w jakiś sposób rozszerzają jego horyzonty myślowe, czy są odbiciem rzeczywistych, głębszych zainteresowań (np. programy teatralne, których duży i bardzo ciekawy zbiór był na wystawie. Piątka z plusem dla wystawcy).

TWORZYĆ CZY ZBIERAĆ?

HOBBYŚCI dzielą się na dwie grupy. Jedna z nich to ludzie, którzy w czasie wolnym od pracy malują obrazy, robią urządzenia elektroniczne, kleją modele, fotografują, hodują kaktusy albo złote rybki, pracują w ogródku. Ich pasje życiowe wymagają ciągłej aktywności, wysiłku, ale równocześnie wpływają w pewnym stopniu na otoczenie, zmieniając je. Druga grupa — to zbieracze różnych przedmiotów wyprodukowanych przez kogoś innego. Jest to zajęcie — wydaje mi się — mniej ambitne, dające jednak radość z posiadania.

W jakim stosunku te dwie grupy były reprezentowane na wystawie? Otóż przytłaczająca większość hobbystów z Liceum im. A. Mickiewicza należy do grupy drugiej.

NAJBARDZIEJ PODOBAŁY MI SIĘ

te eksponaty, które świadczyły o pomysłowości albo talentach właścicieli. A więc niewielki, ale interesujący zbiór małych kluczyków; kolorowe reprodukcje dzieł sztuki, naklejane na przycięte deseczki i powleczone polistyrolem (stoisko było oświetlone świecami — doskonały pomysł); cała kolekcja maleńkich kolorowych... fiolek po lekarstwach, bardzo ciekawe obrazy malowane w stylu nieżyjącego już, znakomitego malarza i grafika Bronisława Linkego; niewielkie, własnoręcznie tkane gobeliny; czy wreszcie „żywe" stoisko z ikebanami (są to artystyczne, na sposób japoński komponowane bukiety z ciętych kwiatów, traw i gałązek). Każda ikebana miała dowcipny podpis. Widziałem też rzeźby z kory, modele samolotów i statków kosmicznych, fotografie psów...

Nie sposób wyliczyć wszystkiego — eksponatów było kilka tysięcy. Chciałbym jednak specjalnie wyróżnić tych wystawców, którzy swoją pasję życiową realizują własnym wysiłkiem — co od razu widać i co daje o wiele większą satysfakcję niż zbieranie najdroższych nawet, ale fabrycznie wykonanych przedmiotów.

A jeśli do tego można je kupić w pierwszym lepszym sklepie komisowym — to wybaczcie, ale takie zbieractwo nie ma nic wspólnego z tytułem wystawy.

JERZY DĄBROWSKI
Fotografie autora

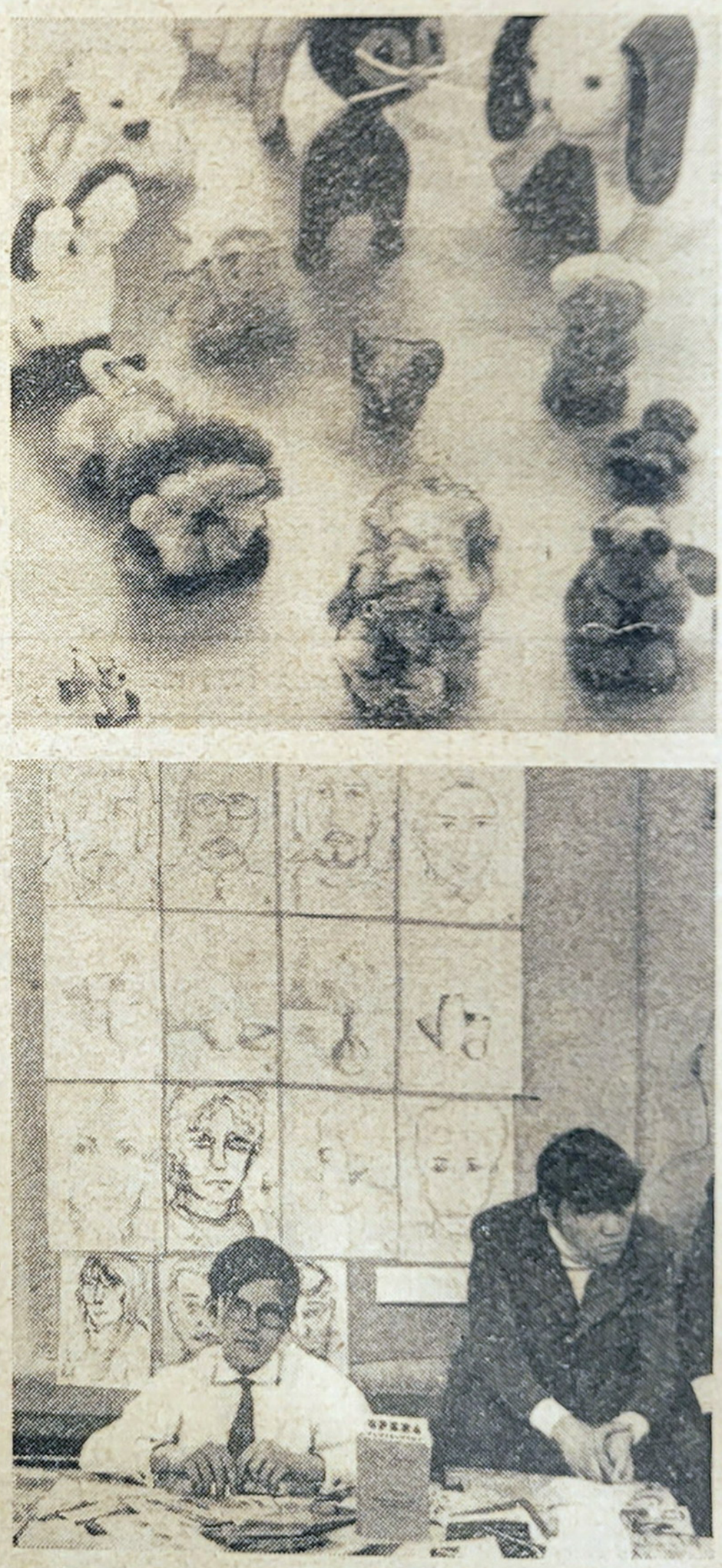

SAMOCHODY „ŚWIATA MŁODYCH"

AUSTIN MORRIS MAXI

ZNANY JEST na naszych szosach samochodzik produkcji brytyjskiej Mini-Morris. Dziś prezentujemy nowy model tej firmy: AUSTIN MORRIS MAXI. Popatrzcie na zdjęcie: jest to pięciodrzwiowa limuzyna (piąte drzwi — z tyłu, otwierane do góry). Silnik czterocylindrowy, przekładnia pięciobiegowa.

Zanim przystąpiono do seryjnej produkcji MORRISA MAXI, piętnaście pojazdów prototypowych przejechało ponad milion mil doświadczalnych. Trasy tego testu-giganta wiodły przez śnieg i lód Laponii, pustynie Afryki, alpejskie przełęcze, wyboiste drogi i szybkie nowoczesne autostrady. Samochód zdał podobno w najtrudniejszych warunkach egzamin na piątkę.

Minęły trzy lata od pomysłu MORRISA MAXI — trzy lata wypełnione próbami i doświadczeniami, zanim pierwsze seryjne egzemplarze przedstawiono brytyjskiemu klientowi.

FIAT 500

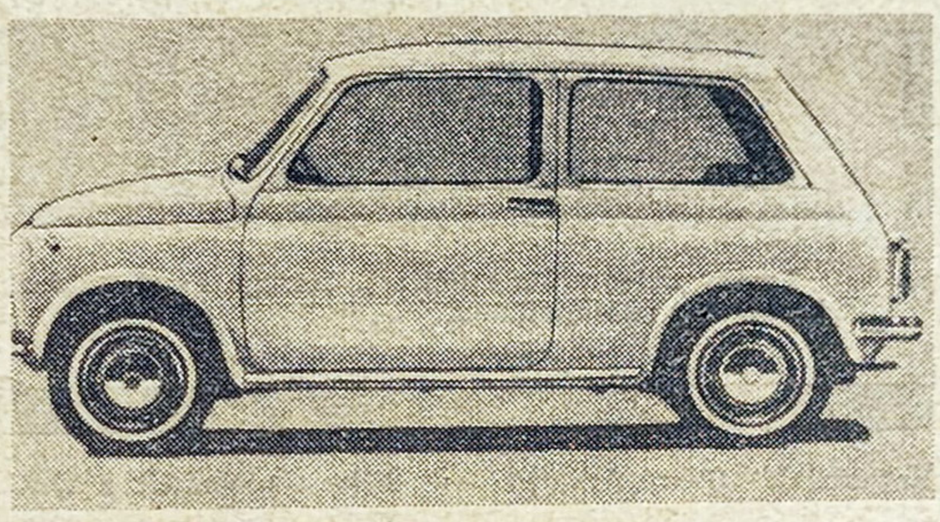

TAK PODOBNO ma w przyszłości wyglądać malutki Fiat 500. Włosi projektują wprowadzenie go do produkcji w latach 1970-1971. Na razie — nie zbudowano jeszcze nawet prototypu, projekt istnieje na rysownicach inżynierów.

POMAGAĆ CZY POTĘPIAĆ?

W OGŁOSZONYM w Klubie Nastolatków alarmie — pod hasłem „Nikotyna Twój Wróg". Antoni M. z Warszawy napisał kiedyś: „Rozczarowałem się, poznałem miłą dziewczynę, która mi zaimponowała inteligencją. Już myślałem, że zostaniemy przyjaciółmi, gdy Agata zapaliła papierosa. Zmieniłem o niej zdanie. Zrezygnowałem".

Otrzymaliśmy na ten temat kilka listów. Publikujemy je dziś.

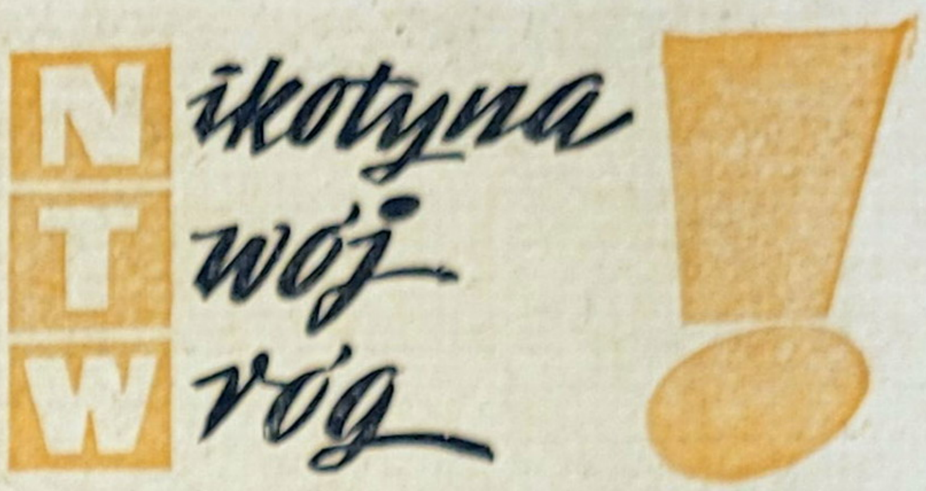

WYGODNY OBSERWATOR

MYŚLĘ, że nasz kolega, który tak zdecydowanie zerwał z koleżanką, jest egoistą. Jeśli komuś zależy na przyjaźni, to nie zostawia przyjaciela w trudnej sytuacji. Każdy ma swoje wady. I każdy popełnia jakieś błędy. Nie zapominajmy o tym, że na świecie nie ma ideałów.

Mój chłopiec palił, obracał się w złym towarzystwie. Lubiłam go, bardzo zależało mi na nim. Dyskretnie — nie narzucając się — pomagałam mu wyciągnąć się z opresji. Nie było to ani łatwe, ani proste.

Gdybym zajęła wygodną pozycję obojętnego obserwatora, straciłabym przyjaciela. Stało się inaczej. Jesteśmy nadal przyjaciółmi, a chłopiec nie pali papierosów.

Piętnastolatka
z Warszawy

MÓGŁ JEJ POMÓC!

DZIWIĘ SIĘ Agacie, że zaczęła palić papierosy, zwłaszcza jeżeli jest inteligentna. Ale jeszcze bardziej zaskoczyła mnie postawa Antoniego z Warszawy. Czy człowiek palący nie ma prawa do przyjaźni? Jeżeli przyjaźnił się z Agatą, to mógł przecież próbować oduczyć ją palenia. A w ogóle skąd ta pewność, że dziewczyna jest „stracona" i że pali nałogowo? Mogła po raz pierwszy zapalić papierosa na imieninach.

Nastolatek z Tych

TRZEBA WALCZYĆ

ŻAL MI ANTONIEGO, będzie samotny w życiu, bo w życiu trzeba ludziom pomagać, tłumaczyć. On woli się nie mieszać, a powinien walczyć. Myślę, że o Agatę warto walczyć, tak samo jak o inne dziewczęta palące papierosy.

Szukam przyjaciela, jeśli znajdę go, będzie to jeden z tych, którym trzeba pomóc. Bo prawdziwa przyjaźń opiera się na pomocy i zaufaniu.

Wojciech z Kielc

CZY NIE ZA DUŻO POBŁAŻANIA?

POSTĘPOWANIE Antoniego raczej nie podoba mi się. Ale może on ma rację?

Sam nie palę. Nie spotkałem się nigdy z tym, aby niepalący wywierali jakiś nacisk na palących, żeby żądali od nich rzucenia papierosów. Bardzo często bywa natomiast odwrotnie.

Czy nie za dużo pobłażania? Czy nie należy otwarcie potępiać tych, którzy palą?

„Niezdecydowany"
z Krakowa

MOI DRODZY!

DOSTAŁAM taki oto zabawny list od „zatroskanej uczennicy": „Między mną a koleżankami często dochodzi do nieporozumień z nocą. Jedna z nich mówi na przykład: — Wiecie, dziś w nocy śniło mi się, że jadę karetą do pałacu. Ja dziwię się: — Przecież dzisiaj noc dopiero będzie!? A ona na to: — Zgłupiałaś, przecież już była! No i część koleżanek idzie za nią, a część za mną. Droga Kropeczko, chyba niewygodnie jest mówić: w nocy z 4 na 5 maja... Jak to w końcu jest!?"

List wesoły, ale wyjaśnienie wszystkich zawartych w nim problemów jest prawie **astronomicznym problemem.** Zacznę może od tego, że:

Po pierwsze, nie popełnia błędu ten, kto mówi, że: **dziś w nocy śniło mi się to i to...**

Po drugie, ma rację ten, kto przekonuje, że **dziś w nocy będzie np. stał na warcie.**

Po trzecie, w pewnych okolicznościach trzeba powiedzieć, mimo że jest to może „niewygodne", że coś działo się **w nocy z dnia 4 na 5 maja.**

Skąd biorą się nieporozumienia? Zapewne stąd, że są dwie podstawowe definicje słowa **„dzień".**

a) **dzień — to okres od wschodu do zachodu słońca**

b) **dzień (kalendarzowy)— to doba, a więc okres dwudziestoczterogodzinny od północy do północy.**

W wyniku skrzyżowania tych dwóch znaczeń powstaje pojęcie dnia jako okresu 24-godzinnego, który ma na początku i na końcu po kawałku nocy (pierwszy od godz. 0.00 do wschodu słońca, drugi od zachodu do północy).

Jeśli ktoś powie tylko: **„dziś w nocy..."** — to będzie to zbyt skąpa informacja, aby można było z niej wywnioskować, czy mowa o przypadającym na bieżącą dobę kawałku nocy, który już był, czy też o tym, który dopiero będzie. Ale jeżeli doda **czasownik w czasie przyszłym,** np.: **dziś w nocy stanie się to a to...** sprawa się wyjaśnia. Wiadomo, że mowa o okresie nocy, który nastąpi.

Jeżeli zaś ktoś zacznie opowiadać: dziś w nocy... — i doda **czasownik w czasie przeszłym** — np.: **spałam niespokojnie,** to zrozumiałe, że myśli o tym odcinku nocy (należącym do bieżącej doby), który już był.

Mowa potoczna dopuszcza pewne nieścisłości. Przecież jeśli któraś koleżanka opowiada, że dziś w nocy śniło jej się, że jedzie karetą, to nie ma przecież pewności, czy sen zaczął się przed lub po północy; granica dnia kalendarzowego się zaciera. A znowu, jeśli świeżo upieczona maturzystka z przejęciem zapowiada: „dziś w nocy pójdę na bal", to przecież nie obiecuje nikomu, że wróci zanim zegar wybije dwunastą (dwudziestą czwartą). Bal może trwać do rana.

Są jednak sytuacje, kiedy koniecznie trzeba posłużyć się dłuższym nieco zwrotem w rodzaju: „w nocy z dnia 4 na 5 maja..."

a) kiedy mowa nie o nocy najbliższej, lecz o takiej, która była lub będzie w przyszłości.

b) kiedy coś działo się na przełomie dwóch dni kalendarzowych i gwoli ścisłości pominąć tego nie można. Oto przykład z najnowszej historii Polski: wszystkie źródła podają, że Krajowa Rada Narodowa została utworzona w noc sylwestrową na przełomie nie tylko dwóch dni kalendarzowych (31 grudnia 1943 roku na 1 stycznia 1944) ale także lat.

A teraz, kiedyśmy już sobie to wszystko wyjaśnili, wypada życzyć „zatroskanej uczennicy" pojednania się z koleżankami i podziękować za dowcipny i ciekawy list.

Wasza

mgr KROPECZKA

P. S. Uwaga, Inka z Jeleniej Góry!

Pomysł podarowania siostrze na imieniny własnoręcznie „wydrukowanej" książki zawierającej napisane przez Ciebie opowiadanie bardzo mi się spodobał. Jest oryginalny i ucieszy solenizantkę. Opowiadanie bardzo udane. Gratuluję! Czy napisałaś już zakończenie?

W gościnie u WOŁODYJOWSKICH

Dokończenie ze str. 1

Ale czas przejść od słów do czynów. Znów wśród oklasków wchodzi na podium nasz pięciokrotny olimpijczyk, Jerzy Pawłowski. Wraz z nim dwaj zawodnicy w białych kostiumach i czterech sędziów. Odbywa się walka na szable. Prowadzi ją i komentuje p. Pawłowski. Każde trafienie, każda śmiała akcja nagradzana jest okrzykami aprobaty i oklaskami widowni.

Wreszcie do akcji wprowadzony zostaje sprzęt elektryczny. Walkę na szpady pomiędzy członkami kadry — Jerzym Bojczukiem i Ryszardem Konckim — prowadzi pan Czesław Wojciechowski, trener i działacz szermierczy Opolszczyzny, jeden z głównych organizatorów tego pięknego spotkania.

Widownię rozgrzewa „do białości" walka na floret y między Elżbietą i Krystyną. Wszyscy czują się już jak wytrawni znawcy szermierki, jakby sami stali tam na planszy, z bronią w ręku. Wielu spośród nich rzeczywiście trenuje szermierkę. Obok mnie siedzą trzej harcerze: Krystian, Heniek i Andrzej z kl. VIIb Szkoły Podstawowej nr 2. Trenowali do niedawna w sekcji szermierczej KS „Odra". Zbyt trudno jednak było im pogodzić naukę ze sportem. Pod koniec roku szkolnego musieli przerwać treningi. Ale obiecują, że od września znów chwycą do rąk floret y. Twierdzą, że to okropnie wciąga.

Dh hm Nowotny z Komendy Chorągwi Opolskiej ZHP oraz pan Strzyżewski omawiają z zebranymi harcerską sprawność „szermierz" oraz zachęcają do jej zdobywania. I znów przed mikrofonem pojawia się pan Jerzy Pawłowski, trzyma w ręce plik kartek i oświadcza, że odczyta długi referat. Szmer zdziwienia na widowni.

— Ale przedtem — mówi p. Pawłowski — mogę odpowiedzieć na 10 pytań zadanych z widowni.

I wtedy zaczyna się pojedynek między mistrzem a widownią. Jak szczęk kling — pytanie i szybka, błyskotliwa odpowiedź. Dlaczego wybrał szablę, od którego roku trenuje, kiedy miał największą tremę, co daje człowiekowi szermierka...

— A referat? — pyta sala.

Jerzy Pawłowski pokazuje, że wszystkie kartki są puste. Burza oklasków, udał się figiel.

Dziękujemy za spotkanie. Za kolejne, przemiłe kilka godzin „w gościnie u Wołodyjowskich". „Świat Młodych" pięknie dziękuje trenerom i działaczom szermierczym Ziemi Opolskiej, a także zawodnikom za sprężystą organizację i frapujące pokazy walk, zaś Komendzie Chorągwi ZHP i druhom instruktorom z Opola gratulujemy z powodu prawdziwie sportowej postawy harcerskiej widowni: żywej, gorącej, entuzjastycznej.

Zanotował:
JAN STYKOWSKI
sekretarz HAO

Fotografował:
Kajetan Adamowski

P. S. Jego Magnificencja Rektor HAO nie mógł być tym razem na spotkaniu w Opolu. Przygotowuje bowiem nowe spotkanie poświęcone... PIŁCE NOŻNEJ! Szczegóły wkrótce.

Łowcy autografów mieli raj. Jerzego Pawłowskiego oblegały tłumy harcerek z pamiętnikami.

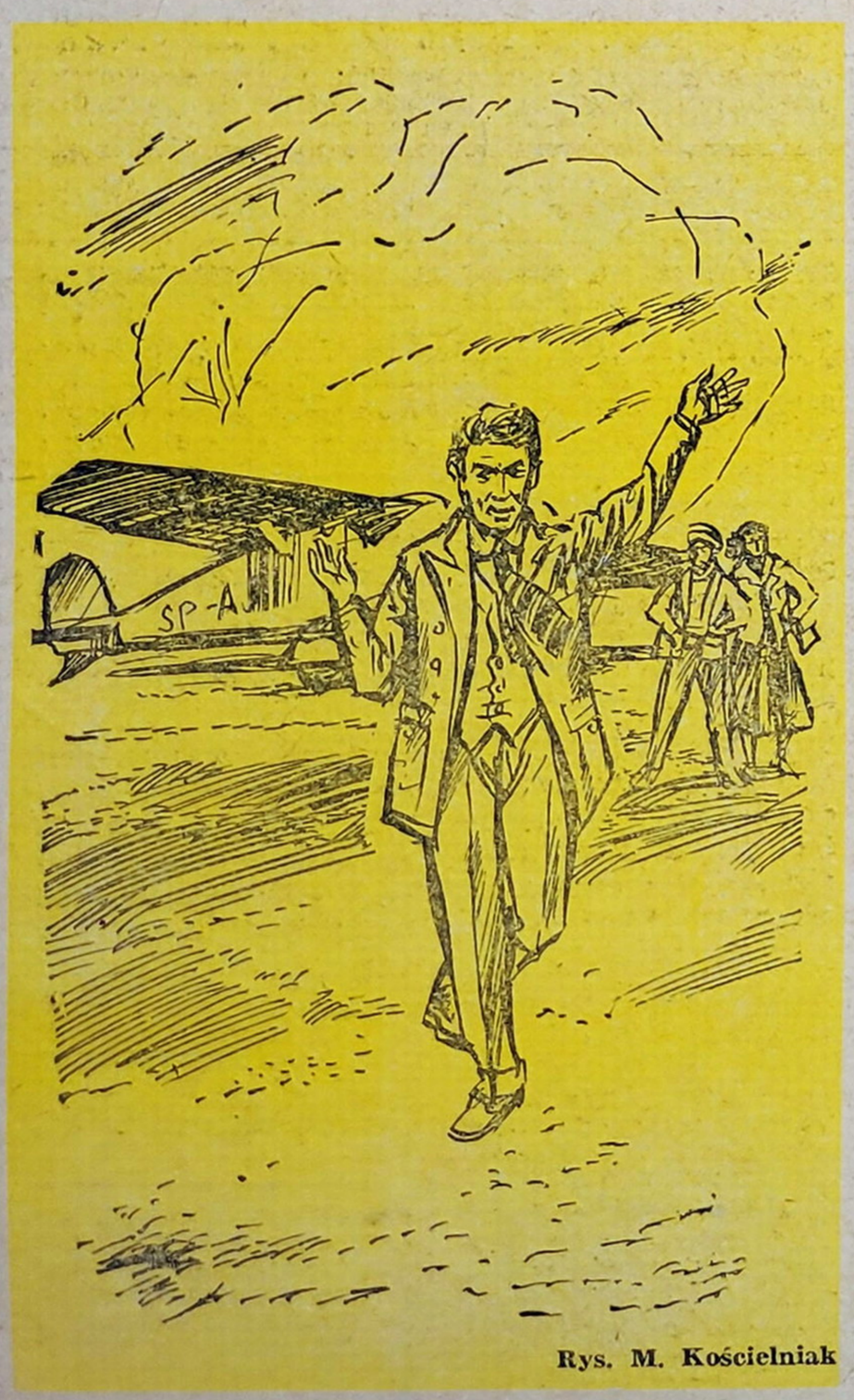

Rys. M. Kościelniak

„Erwudziak" Skarżyńskiego — ochrzczony SP-AJU — oderwał się od warszawskiego lotniska i poszybował na zachód. Przez Poznań, Lipsk, Frankfurt nad Menem Skarżyński kierował się do Lyonu we Francji. Pierwszy etap przeszedł bez żadnych niespodzianek. Po 8 godzinach i 40 minutach zameldował się w Lyonie. Drugi etap z Lyonu aż do St. Louis w Afryce wynosił kilka tysięcy kilometrów. Ale nie odległość była główną przeszkodą; pod koniec kwietnia pogoda zupełnie się popsuła. Skarżyński czeka dwa dni, ale komunikaty meteorologiczne nadal zapowiadają deszcze i silne wiatry. 30 kwietnia decyduje się na dalszy lot do Casablanki. Niestety, po przebyciu zaledwie 450 km musi lądować w Perpignan. Pogoda jest fatalna. W następnym dniu startuje znowu. Mimo ciężkich warunków atmosferycznych, RWD-5 ląduje w Casablance po przebyciu 1600 km. Następnego dnia pokonuje odległość 1950 km do Port Etienne. Dopiero 4 maja Skarżyński dociera do St. Louis odległego od Warszawy o około 6 tysięcy km.

To zupełne szaleństwo

AŻ DO CHWILI przylotu do St. Louis komisja sportowa informowana była, że kpt. Skarżyński dokona próby bicia rekordu na odległość z St. Louis w kierunku północnym, a więc w kierunku Europy. Trudno opisać zdumienie francuskiego komisarza sportowego pana De Vieux w chwili, gdy kpt. Skarżyński zawiadomił go w St. Louis o zmianie kierunku lotu. Francuz początkowo uśmiechnął się pobłażliwie myśląc, że Skarżyński żartuje.

— Dowcipniś z pana, zawsze uważałem, że Polacy mają poczucie humoru, ale pan jest wyjątkowy — powiedział komisarz.

— Ja wcale nie żartuję, naprawdę polecę przez Atlantyk do Brazylii — odparł poważnie Skarżyński.

Oczy poczciwego pana De Vieux zrobiły się okrągłe ze zdumienia. Na chwilę zaniemówił z wrażenia, a potem wybuchnął:

— Jak można lecieć w takiej łupince przez ocean? ... Jak się pan będzie orientował w locie bez sekstansu, bez radia?... Nie ma pan spadochronu ani łodzi ratunkowej na wypadek katastrofy... To zupełne szaleństwo!

— Musiałem rozpocząć długi i obszerny wykład, aby odpowiedzieć na wszystkie argumenty podnieconego komisarza — pisze w swych wspomnieniach Skarżyński. — Co mi pomoże spadochron w locie przez Atlantyk? — najwyżej ułatwi utopienie się. Na tym zupełnie mi nie zależało. Składana łódź gumowa w niczym nie jest lepsza od wielkiej, nadymanej powietrzem poduszki gumowej, którą jest wyłożone siedzenie pilota, a za to jest dużo cięższa i zresztą nie ma na nią miejsca. Co do radioaparatu, to najlżejszy ważny 60 kg — samolot więc przekroczyłby wagę i o rekordzie nie mogłoby być mowy. Zresztą w razie zabłądzenia ratować mnie będzie duża rezerwa zasięgu samolotu. Z St. Louis do Natalu jest przecież 3200 km, a zasięg mojej maszyny wynosi około 5000 km, można więc „szukać" Ameryki.

— Jak pan sobie da radę bez radiogoniometrii?... Przecież na całej trasie nie ma pan ani jednego punktu orientacyjnego. W pobliżu trasy są tylko skały Sao Paulo i wysepka Rocas, ale aby się według nich orientować, trzeba je najpierw znaleźć i nie zboczyć z kursu — denerwował się pan De Vieux. — Zresztą do takiej eskapady trzeba się gruntownie przygotować! 3200 km nad Atlantykiem to nie przelot nad lądem z St. Louis do Lyonu — powiedział triumfująco komisarz, pewny, że tym razem przekonał zwariowanego Polaka.

— Przygotowałem się do lotu w Warszawie — odparł spokojnie kpt. Skarżyński. — Nasza Główna Wojskowa Stacja Meteorologiczna poczyniła wszystkie potrzebne obliczenia i wskazania co do siły i kierunku wiatrów oraz wysokości, na

Mistrzowie mają

Na trzy pytania Czytelników „Świata Młody odpowiada najlepszy szabl wszechczasów mgr JERZY PAW

● „Szermierka jest s dawania trafień bez mywania. Konieczność przeciwnika unikającego czyni sztukę szermier zmiernie złożoną i trud oczu, które widzą, do który ocenia i decyduj która wykonuje — trz dokładność i szybk tchnąć właściwe życie (*Molier, w tłumaczeniu kowskiego).*

● Już w dwudziest przed naszą erą, za p Ramzesa III, rozgry Egipcie międzynarodow je szermiercze. Zawodn czyli na długie, wąski opatrzone gardami, czy mi na rękę, jakie późn zapomnieniu i odrodził piero w średniowieczu piery.

● Łukasz Górnicki RZANINIE POLSKIM pisze: „Umiejętność jakiej mam trasy.

Oczy pana okrągliły. Nie podziwu dla teorologicznej organizatorów wreszcie skapit

Nad wielk

PRZY PEŁ o godzinie ku kpt. St je w kierunku pan De Vieux mogą w żaden biały człowiek taką wielką i nie każe lecieć ich sprzeciwów kał z oświetl kierunkową a nie wierzył w

Po niecałej ci już nad oc światła Dakar nie na ląd a pierwsza niesp

Poczucie rów ra się w znac wzrokowych, oczu, traci si wagi. Lot na sów, że pilot nieć o tzw. oc jak mu każą kach oczy mę senność.

Minęło kilk Zmieniając wy runków atmos najdywał sobi nie zasnąć.

— Najgorsz — Bezruch i bynajmniej n walkę z senno

głos

a

ch"

lista

WŁOWSKI

— W jakim wieku najlepiej jest rozpoczynać uprawianie szermierki? Czy jest to sport trudny?

— Uważam, że najlepiej jest zaczynać, kiedy się ma około 14 lat. Ja sam zająłem się szermierką dość późno — w 17 roku życia. Jest to sport piękny, ale trudny: tylko 10 proc. rozpoczynających szermierkę osiąga doskonałe rezultaty.

— Czy konieczne jest kondycyjne przygotowanie, specjalne predyspozycje?

— Tak. Trzeba mieć zarówno fizyczną, jak i psychiczną odporność na trudy: również wytrzymałość. A przede wszystkim — refleks, błyskawiczną orientację, intuicję. Trzeba umieć szybko — jak mózg elektronowy — przewidzieć zamierzenia przeciwnika.

— Co osiąga Pan dzięki szermierce?

— Każdy szermierz-sportowiec, który uprawia ten sport z entuzjazmem, zachowuje długo młodzieńczość. Nawet wtedy, gdy wycofa się z czynnego uprawiania sportu, charakter jego w tym względzie już się nie zmienia. Szermierka — to przedłużenie młodości.

Rozmawiał: j. s.

Okruchy z szermierczej planszy

rozmaitymi broniami nie tylko mu się do wojny przygodzi, ale i do krotochwile, bywają na dworze turnieje konne, turnieje piesze, bywa i szermowanie... W szermierce nie idzie o ślachectwo, ale kto więcej umie! A siła, moc, czerstwość a umiejętność może być tako wielka w chłopie, jako w ślachcicu..."

● Maskę szermierczą wynaleziono dopiero w XVIII wieku. Około roku 1570 Montaigne ubolewa, że sztuki szermierczej można się nauczyć jedynie w Italii, gdzie „studenci oddają się ćwiczeniom z narażeniem własnego życia". Również w XVIII wieku wprowadzono floret jako sprzęt do bezpiecznej nauki walki na szpady.

● Major Kazimierz Laskowski — twórca polskiej szkoły trenerów i jeden z najlepszych teoretyków i praktyków szermierki na świecie — był jednocześnie współzałożycielem Polskiego Związku Bokserskiego. Do niego należy wygranie pojedynku bokserskiego po raz pierwszy w Polsce przez nokaut.

● Pole walki w nowoczesnej szermierce sportowej ma szerokość 2 m, długość wynosi 12 metrów we florecie, 14 — w szabli i 24 — w szpadzie.

● Polscy szermierze zdobyli w ciągu XXV-lecia Polski Ludowej w mistrzostwach świata seniorów i olimpiadach 18 złotych, 15 srebrnych i 10 brązowych medali. Juniorzy w swoich mistrzostwach świata — 5, 4 i 5 medali.

WŁODZIMIERZ STRZYŻEWSKI

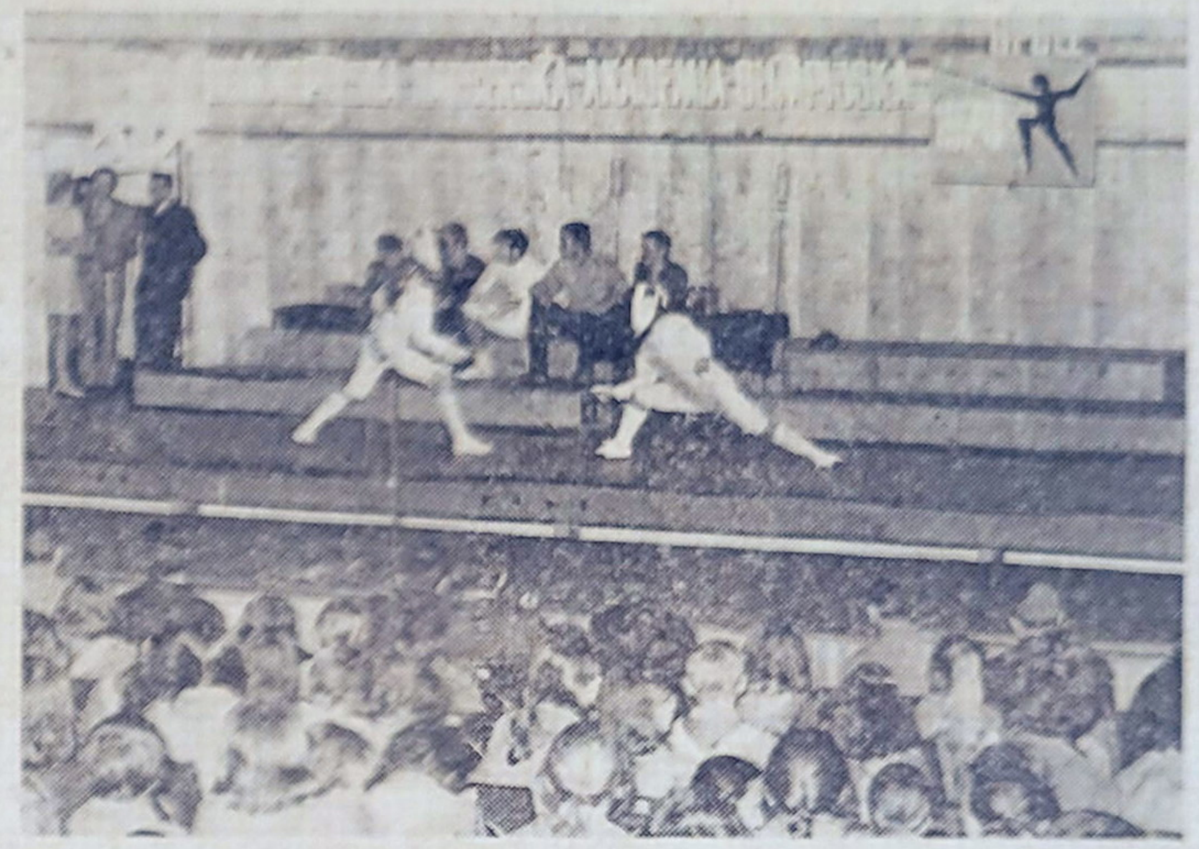

Walka na florety Elżbiety i Krystyny rozgrzała widownię „do białości".

ztuką za-
ich otrzy-
trafienia
o ciosów
ezą nie-
ną, bo do
rozsądku.
, do ręki.
eba dodać
ość, aby
w bron"
Z. Czaj-

m wieku
anowania
wano w
e turnie-
nicy wal-
e miecze,
li osłona-
iej uległy
y się do-
jako ra-

w „DWO-
" (1566)
władania

ecieć w różnych częściach

De Vieux znowu się za-
wiadomo jednak, czy z
poziomu naszej Stacji Me-
czy też dla przebiegłości
całej imprezy. Dość, że
tulował.

ą wodą

NI KSIĘŻYCA, wieczorem
23.00 dnia 7 maja 1933 ro-
anisław Skarżyński startu-
Brazylii. Na lotnisku stoi
i grupka Murzynów. Nie
sposób pojąć, dlaczego ten
pcha się w nocy i sam nad
mokrą wodę, kiedy mu nikt
. Pan De Vieux mimo swo-
oświadczył, że będzie cze-
nym lotniskiem i latarnią
do rana. Najwidoczniej
umiejętności Polaka.
godzinie kpt. Skarżyński le-
anem mając po lewej ręce
u. Jest to ostatnie spojrze-
rykański. Nad Atlantykiem
odzianka — mgła.
wnowagi w człowieku opie-
znej mierze na wrażeniach
oteż gdy znika oparcie dla
również poczucie równo-
lepo odbywa się w ten spo-
ić nie widząc musi zapom-
uchach i lecieć ściśle tak,
przyrządy. W tych warun-
czą się i ogarnia człowieka

a pierwszych godzin lotu.
sokość w zależności od wa-
ferycznych, Skarżyński wy-
e jakieś zajęcia, aby tylko

a była noc — wspomina.
oddawanie się marzeniom
ie wpływają dodatnio na
ścią. Toteż od czasu do cza-

Ciąg dalszy ze str. 1

żej, by po grzywach fal zorientować się w kierunku wiatru. Ale ulewne deszcze, które się wkrótce rozszalały, zmuszają go do wyjścia na wysokość 2500 metrów.

Około godziny 10.00 zmęczony wzrok znajduje wśród „wielkiej wody" Sao Paulo. Skarżyński spogląda na mapę — jest już niedaleko Ameryki Południowej. Obliczenia okazały się dobre. W południe mija pierwsze statki zdążające do brzegów Brazylii. Po kilku godzinach poprzez zwały chmur pilot dostrzega na horyzoncie ciemny pasek stałego lądu.

Po przeszło 17 godzinach lotu walka samotnego człowieka z żywiołem kończy się zwycięsko. Znika gdzieś zmęczenie.

Na godzinę przed zachodem słońca kpt. Skarżyński ląduje w Maceió. Jest godzina 19.30 8 maja 1933 roku. W dzień swoich imienin kapitan kończy samotny lot transatlantycki.

Skąd się pan tu wziął?

KIEDY WYSIADŁEM Z MASZYNY na pustym i sennym lotnisku, czułem się zupełnie dobrze — pisze w swych wspomnieniach Skarżyński. — Tyle tylko, że odzwyczaiłem się od ziemi i idąc zacząłem się kołysać, jak marynarz chodzący po pokładzie okrętu.

Wkrótce podeszła do mnie żona szefa lotniska z kierownikiem radiostacji przyglądając się z zaciekawieniem malutkiemu samolotowi. Przedstawiłem się, ale nie zrobiło to żadnego wrażenia. W dalszym ciągu interesowała ich jedynie maszyna. Wreszcie padło pytanie:

— A skąd pan leci?

— Ostatni start z Saint Louis du Senegal — odpowiedziałem skromnie.

— Coooo?

Wszechwiedzący kierownik radiostacji popatrzył podejrzliwie najpierw na mnie, a potem na maszynę, znowu na mnie — znowu na maszynę, wzruszył ramionami i poszedł na swoją stację.

— Niedobrze — myślę sobie. — Tym Amerykanom to już doprawdy nie można niczym zaimponować.

Po pewnym czasie wyskoczył ze stacji radiotelegrafista. Jego flegma zniknęła zupełnie. Wymachiwał depeszą i krzyczał:

— To prawda! Zgadza się!... Te same znaki rejestracyjne na samolocie!...

Okazało się, że już wcześniej otrzymał wiadomość od De Vieux z Saint Louis o starcie kpt. Skarżyńskiego, ale wbił sobie w głowę, że to musi być wielka maszyna transatlantycka. Toteż kiedy zobaczył wysiadającego z maleńkiej łupinki lotnika, myślał, że ten kpi sobie z niego mówiąc, iż przeleciał Atlantyk.

Wkrótce wiadomość o wyczynie Skarżyńskiego obiegła cały świat. A gazety brazylijskie przez wiele dni pisały o niezwykłej odwadze Polaka. Największe owacje zgotowała Skarżyńskiemu polonia brazylijska, dumna ze sławnego rodaka.

Oprac. ST. BOROWIECKI

SKOK PRZEZ ATLANTYK

WILKI na GRANICY

ALEKSANDER WIĄCEK
JERZY RUSZCZYŃSKI

ODCINEK 11.

SIERŻANCIE! W imieniu służby wzywam was do wstania! — Wierzba usłyszał przez sen głos dziwnie podobny do majora Grudy. Z trudem otworzył zaspane oczy i ujrzał szelmowską twarz kaprala Szpaka.

— Odczep się — burknął. — Koza nie bydlę, kapral nie oficer.

— Wstawaj, Wierzba. Żaba przyniósł ci ważne wiadomości.

Sierżant oprzytomniał natychmiast, usiadł na łóżku:

— Dawaj go tu.

— Nie da się zrobić. Chodź ty do niego, do izby chorych.

— Co się stało?

— Nic wielkiego. Znaleźli go niedaleko na szosie ze skręconą nogą.

Po kilku minutach kapral Żaba opowiadał swoje przejścia ostatniej nocy.

— Wracałem późnym wieczorem z zabawy. Koło kościoła, przy tym domu, gdzie jest studnia z drewnianym korytem...

— Wiem, gdzie to jest — wtrącił Wierzba. — Jedź dalej.

— Tam stał na drodze ten śpiewak, co go pan szuka. Jak on zaczął śpiewać jakąś niemiecką pieśń religijną, to z tego domu wyszedł zaraz brodaty mężczyzna i poszli dróżką przez las, a ja za nimi.

— A broń mieliście?

— Skąd, przecież z zabawy wracałem, to nie mogłem brać automatu. Sztachetę tylko z płota wyrwałem. Szedłem za nimi, ale lasem, żeby mnie nie widzieli. Oni coś po niemiecku szwargotali i potem weszli do takiej stodółki, co tam stoi, i zamknęli wrota za sobą.

— I długo tam siedzieli?

— Nie wiem. Ja stałem chyba godzinę. Myślałem, że śpią, a może mają radiostację i nadają. Już chciałem lecieć po chłopaków, ale najpierw zajrzałem od drugiej strony stodoły. Tam były też wrota. Zobaczyłem jeszcze świeże ślady. Poszli w las i wystrychnęli mnie na dudka.

— Nie ciebie jednego, nie martw się. I co dalej robiłeś?

— Próbowałem iść w las za śladem, ale było ciemno, w jakąś dziurę noga mi wiazła. Bolało jak diabli. Dowlokłem się do szosy, zatrzymałem pierwszy samochód i tu mnie przywieźli. But było trudno ściągnąć, więc mi go doktor musiał przeciąć. Powiada, że mam ścięgno naderwane. Jak pan myśli, długo będę leżał?

— Do wesela się zagoi.

— Ja się tam żenić jeszcze nie chcę. Chyba jutro mnie wypiszą, ale jak ja pójdę?

Żaba ze smutną miną wyciągnął spod łóżka rozcięty but.

— Nie martw się, stary — uspokoił go Wierzba. — Zaniosę do szewca, chyba do jutra ci zeszyje. Już ja ich pogonię.

*

W małych pokoikach na trzecim piętrze budynku rozmieścił kwatermistrz swoje warsztaty. Każdy z pracujących tam starych Niemców miał swój osobny pokój: krawiec Linke, hydraulik Müller, ślusarz Wentke, rymarz Gredel i szewc chudy, siwy Grund. Niestety ten ostatni był dziś w kiepskim humorze, nieczuły na argumenty Wierzby, namawiającego go do zeszycia buta

Rys. Jan Rockl

Żaby. Po dłuższej jałowej dyskusji Wierzba zaproponował, że sam sobie zeszyje na jego maszynie, ale i tutaj napotkał na zdecydowany opór Niemca bojącego się o całość swojego dobytku. Wreszcie Grund zgodził się, że but zeszyje na jego maszynie rymarz Gredel. Wierzba przeszedł więc do warsztatu rymarskiego. Niski, stary rymarz, siedział przy stoliku, plecami do drzwi. Na nosie miał powiązane sznurkiem okulary, a w ręku kawałek gazety. Wejście Wierzby zaniepokoiło go wyraźnie. Położył gazetę na warsztacie, podszedł do sierżanta, skwapliwie odebrał od niego but i zgodził się natychmiast go zeszyć. Zaintrygowany Wierzba nie dał się tak szybko zbyć. Pod pretekstem obejrzenia buta przy świetle zbliżył się do warsztatu. Wycinek niemieckiej gazety leżał na wierzchu. W oczy rzucił się Wierzbie tytuł: „Transporte aus Schlesin" (transporty ze Śląska). Udając, że nie widzi gazety, wyszedł, umówiwszy się, że za godzinę odbierze but.

Na parterze Wierzba natknął się na majora Grudę, który przedstawił go nowemu oficerowi zwiadu, kapitanowi Goleniowskiemu. Porozmawiali sobie nieco o niemieckiej dywersji, o nasyłanych szpiegach, rekrutujących się głównie z Niemców wysiedlonych z tych terenów. Wierzba początkowo był przekonany, że widział u rymarza wycinek z wojennej gazety, z czasów, gdy produkcja nie tkniętego wojną Śląska zasilała całą machinę hitlerowskich Niemiec. Teraz tytuł artykułu skojarzył mu się z prowadzoną przez Niemców nagonką na nasze Ziemie Zachodnie i opowiedział o tym, co zauważył, obu oficerom.

— Może macie rację, sierżancie — stwierdził major Gruda. — Proszę iść razem z kapitanem i zrewidować tego rymarza.

Spóźnili się jednak. Gredla nie było ani w warsztacie, ani u szewca. But leżał nietknięty. Grund twierdził, że nie widział, ani nie słyszał wychodzącego rymarza. Dopiero hydraulik Müller poinformował ich, że widział Gredla koło warsztatu stolarskiego, mieszczącego się w baraku. Tam okazało się, że Gredel razem ze stolarzem nazwiskiem Kloose poszedł do Globkego. Był to stolarz, który miał swój warsztat naprzeciwko restauracji „Basia", koło kina.

Samochodu majora w garażu nie było, musieli iść pieszo. Żona Globkego poinformowała ich, że mąż pojechał rano do dentysty. Gredel był niedawno, pytał o męża i zaraz poszedł dalej. Ślad się urwał.

*

Następnego dnia sytuacja nie uległa zmianie. Ani Gredel, ani stolarz z baraku nie przyszli do pracy, a Globke znów pojechał rzekomo do dentysty. Wierzba wziął samochód i pojechał szukać domu Gredla. Znalazł go niedaleko toru kolejowego, ale budynek był pusty. Od przechodzącej dziewczynki Wierzba dowiedział się, że rymarz ma żonę i brata pracującego jako drwal w lesie. Dziewczynka poszła, a Wierzba obszedł domek dookoła, zaglądając przez okna. Wnętrze było skromne, ale schludnie urządzone. Typowe niemieckie sprzęty i ozdoby: makatki z przysłowiami, oleodruk z jeleniem na rykowisku, fajansowe puszki na sól i cukier. Szyby lśniły od czystości, odbijając wyraźnie widok ogródka przy domu. Nagle Wierzba zauważył, że krzaki poruszyły się. Ktoś obserwował go. Nieznacznie przesunął kaburę do przodu i odpiął, po czym gwałtownie odwrócił się i skoczył w kierunku krzaków. Przestraszony człowiek wstał i wyszedł z krzaków. Był to starzec, brudny i brodaty, w zniszczonym brązowym kapeluszu, starym, czarnym ubraniu i gumowych butach.

— Kto ty jesteś? — spytał głośno Wierzba.

Stary przyłożył rękę do ucha, przybliżył się do sierżanta:

— Wie?

— Pytam, kto jesteś — huknął po niemiecku Wierzba.

— Ja? — odpowiedział niepewnie — ja grabarz, Johann Schmidt.

— A czego tu szukasz?

— Niczego — uśmiechnął się głupkowato. — Ja tak sobie patrzę.

— A gdzie jest Gredel, ten rymarz?

— Bóg jeden wie, gdzie on może być — nieokreślony ruch ręką starca — chyba poszedł do pracy.

— A gdzie on pracuje?

— Ja myślę, że chyba w lesie. To jest najlepsza praca, spokojna, daleko od ludzi. Tyle zła namnożyło się na świecie, ciężko żyć teraz porządnym ludziom. To nie to, co za naszego pana.

— Jakiego pana? — wpadł mu w słowo Wierzba.

— Jak to, jakiego — oburzył się stary. —Na świecie był tylko jeden prawdziwy pan, któremu będę wierny do grobowej deski. Był nim najjaśniejszy cesarz i król Monarchii Austro-Węgierskiej, Franciszek Józef.

Mówiąc te słowa stary stanął na baczność. Wierzba zastanawiał się, czy nie przerwać mu tych wywodów. Ale od wariatów i dzieci można dowiedzieć się najwięcej — powtórzył sobie w myśli stare powiedzenie zwiadowców.

— Za jego panowania żyło się całkiem inaczej — ciągnął dalej grabarz. — Cóż ty o tym możesz wiedzieć, młody człowieku? — uśmiechnął się z politowaniem. — Dawniej ludzie byli lepsi, żyło się łatwiej, taniej. Takie czasy nigdy nie wrócą. Już nie zaznam chyba spokoju na tym świecie. Cała moja nadzieja, że połączę się w niebie z moim Najjaśniejszym Panem.

— Ładnie pan tu mieszka — Wierzba spróbował zmienić temat. — Ma pan spokój, dach nad głową, sąsiadów też chyba dobrych.

— Sąsiedzi mało mnie obchodzą — obruszył się starzec, potrząsając zarośniętą gęstymi kudłami brodą. — A ten rymarz Gredel to chyba jest najgorszy. Uważa mnie za wariata. Dla niego pieniądz, ten szatański wymysł, jest więcej wart od moich słów.

— Zdaje się, że rymarz ma rację — pomyślał Wierzba zabierając się do odejścia. — Ten mi chyba nic ciekawego nie powie.

C.d.n.

Gwiazdy big-beatu i piosenki

Maryla Rodowicz

PIOSENKARKA ROKU

ZOSTAŁA wybrana piosenkarką roku 1969. Znaczy to, że była najlepszą wśród najlepszych. Pozycję swą utrzymuje w dalszym ciągu. Jej piosenki i ballady ciągle znajdują się na czołowych miejscach wszelkich radiowych i telewizyjnych list przebojów.

Maryla Rodowicz zaczynała swą piosenkarską karierę w studenckim Klubie „Relax". Pierwszy występ, na którym ją zauważono, odbył się w 1967 r. w Krakowie w ramach Festiwalu Piosenkarzy Studenckich. Zdobyła wtedy I miejsce za interpretację piosenki Jerzego Marka i Adama Kreczmara „Jak Cię, miły, zatrzymać".

Rok potem Maryla Rodowicz zaczęła współpracę z Radiowym Studium Piosenki. Z audycją tą związana jest do dziś.

Wkrótce przyszły sukcesy. Piosenka „Zakopane" z filmu telewizyjnego „Kulig" — w wykonaniu Maryli Rodowicz — stała się przebojem śpiewanym przez wszystkich młodzieżowych melomanów.

A potem zaczęły się Festiwale, Giełdy Piosenki, koncerty krajowe i zagraniczne. Wyjazdy, m. in. do Karlovych Varów, na Festiwal do ZSRR, do Anglii, gdzie, jako pierwszy polski zespół, Maryla Rodowicz i jej gitarzyści nagrali płytę w wersji angielskiej.

Na Festiwalu Opolskim w roku 1968 Maryla Rodowicz podobała się publiczności w piosence „Zabierz moje sukienki", a po roku na tym samym Festiwalu utwór „Mówiły mu" podbił publiczność i do dziś nie schodzi z przebojowych list.

Maryla Rodowicz występuje wraz ze swymi gitarzystami. Są to: Grzegorz Pietrzak i Tomasz Myśków — koledzy ze studenckiego Klubu „Relax". Wszyscy troje studiują w Warszawskiej Akademii Wychowania Fizycznego. Właściwie chłopcy już są absolwentami tej uczelni. W tym roku kończy studia także Maryla. Na pytanie, co pasjonuje ją poza studiami i piosenką, Maryla odpowiedziała:

— Uwielbiam sport, a zwłaszcza żeglarstwo. Jestem członkiem Katowickiego Studenckiego Jacht Klubu. Może wraz z zespołem wybierzemy się kiedyś na wspólny rejs. Bardzo lubię również zwierzęta, szczególnie psy — najbardziej zaś wyżły, spaniele i jamniki.

Współczesna ballada z jej nieodłącznym skromnym akompaniamentem, ciepło i życzliwie traktująca codzienne sprawy, kłopoty i przeżycia... to ulubiony i najbardziej odpowiadający Maryli Rodowicz gatunek muzyczny.

W roku 1969 oprócz tytułu najlepszej Solistki Roku (w konkursie Radiowej Listy Przebojów) piosenkarka zdobyła także Złotą Kotwicę na II Festiwalu Zespołów Młodzieżowych.

Oto aktualne przeboje Maryli Rodowicz, które m. in. znalazły się na longplayu pt. „Żyj mój świecie" (nagrany przy współpracy orkiestry Adama Sławińskiego, „Hagaew", „Alibabek" i nieodłącznych dwóch gitarzystów): „Chcę mieć syna", „Za duże buty", „Za górami", „Trzy, może nawet cztery dni", „Być z miastem sam na sam", „Dzięcioł i dziewczyna".

Obecnie Maryla Rodowicz bierze udział w nagraniach teledysków dla Telewizyjnego Ekranu Młodych.

A. WIELGOŁAWSKA
Foto: K. Adamowski

SPRÓBUJ ROZWIĄZAĆ

WIRÓWKA

Dookoła cyfr wpiszcie wyrazy o podanym znaczeniu. Początek oznaczono krzyżykiem; kierunek wpisywania do odgadnięcia.

Znaczenie wyrazu: 1) środkowa część Czechosłowacji; 2) samowolny spacer ucznia w godzinach nauki w szkole; 3) budynek będący siedzibą miejskich władz administracyjnych; 4) podpowiada aktorom tekst roli; 5) utwór liryczny o smutnym nastroju; 6) tworzywo sztuczne (upiększony polichlorek winylu); 7) napisał Homer; 8) obchodzi imieniny 11 grudnia; 9) kraj w Afryce; 10) stolica Adżarskiej A. S. R. R. (Gruzja); 11) pałeczka dyrygenta orkiestry lub chóru; 12) jezioro w Syberii Wschodniej (ZSRR); 13) izba zwykle bez okien w domach wiejskich.

Rozwiązania należy przesyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru z dopiskiem na karcie pocztowej: Spróbuj rozwiązać.

Za trafne odpowiedzi będzie rozlosowanych 10 bonów książkowych po 20 zł.

Uwaga! Redakcja nie odpisuje na listy zawierające tylko rozwiązania rozrywek umysłowych.

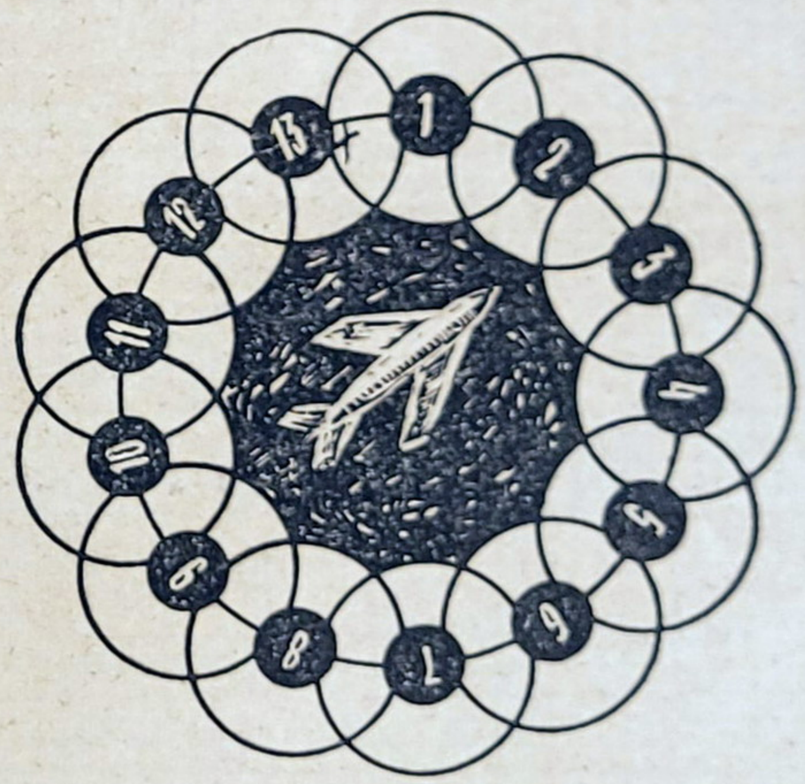

Rozwiązanie krzyżówki z nr 38

POZIOMO: Zgorzelec, strop, Elam, rafa, alibi, alka, okaz, Akaba, odkażanie.

PIONOWO: zwierciadło, rytm, efor, chrabąszcze, sasanka, pasieka, kil, Akra, Obra.

Bony książkowe po 20 złotych wylosowali: Lucyna Bal — Krosno n. W.; Renata Gaszek — Brześnica 4; Wioletta Gąsiewicz — Prusy 37; Ryszard Gorny — Zgorzelec; Dominik Grabowski — Szafarnia; Krzysztof Konarczak — Gorlice; Henryk Okuła — Halinów; Barbara Rabiega — Kępno Wlkp.; Aniela Remesz — Biała Podlaska; Zbigniew Zabłocki — Sokółka.

Pytaj odpowiemy

„Interesuję się przyrodą i zbieram wszelkie dane o rekordzistach świata zwierzęcego. Chciałbym np. dowiedzieć się czegoś o mistrzach w nurkowaniu i pływaniu pod wodą"...

MAREK KALETNIK, Zgierz k. Łodzi

REKORDZIŚCI W PŁYWANIU I NURKOWANIU

Wiele zwierząt w celu zdobycia pokarmu nurkuje w wodzie. Jeśli chodzi o ptaki, to są gatunki, które mogą wytrzymać pod wodą tylko kilkanaście sekund. Ciekawe, że domowa kaczka jest pod tym względem rekordzistką; niekiedy może przebywać pod wodą nawet 15 minut.

Ptaki nurkują na różną głębokość odpowiadającą danemu gatunkowi. Dzikie kaczki zanurzają się do około 2 metrów, natomiast niektóre gatunki nurów docierają nawet do 50 metrów głębokości (czemu zawdzięczają swoją nazwę).

Prędkość poruszania się ptaków pod wodą również jest bardzo różna — od szybkości zwykłego marszu człowieka aż do prędkości blisko 40 km/godz., jak to ma miejsce u pingwinów, ale tylko w czasie nurkowania.

A inne zwierzęta? Otóż amerykański krokodyl-aligator zanurza się w wodzie na przeciąg 30 do 60 minut. Natomiast zielony żółw morski potrafi przebywać pod wodą aż kilka godzin.

Najlepszych jednakże nurków należy szukać w rodzinie wielorybów. Delfin może osiągnąć głębokość 15 metrów, zaś płetwal błękitny 50 metrów. Kaszalot może przebywać pod wodą bez zaczerpnięcia powietrza około półtorej godziny, natomiast wieloryb butelkonosy nawet do dwu godzin! Jeśli chodzi o szybkość poruszania się pod wodą, to płetwal błękitny osiąga około 15 km/godz., ale gdy jest spłoszony, może na krótko rozwinąć szybkość aż 37 km/godz.!

Wszelkie jednak rekordy w głębokości nurkowania biją kaszaloty. W poszukiwaniu pokarmu zanurzają się aż do 1000 metrów! Jest to tym bardziej zadziwiające, że zwierzęta te nic sobie nie robią ze znacznej różnicy temperatury, jaka występuje między wierzchnią warstwą wody i na głębokości jednego kilometra. Ta zdolność przystosowania się do zmiennych temperatur sprawia, że kaszaloty spotyka się na morzach i oceanach pod różnymi szerokościami geograficznymi. **(bor).**

„SWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPOŁ. Red. nacz. JERZY MAJKA, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-25-48. Sekretariat administracji 21-15-61, Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEZOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa" Warszawa, ul. Bagatela 14. Biuro ogłoszeń — W-wa, ul. Wspólna 61. Tel. 21-21-29. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", W-wa, Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna zł 4.00, kwartalna zł 12.00. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-100020 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch" Warszawa, ul. Towarowa 28 do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24.

Zam. 2338 K-72

Kartka z najdawniejszej historii

KAPITOL

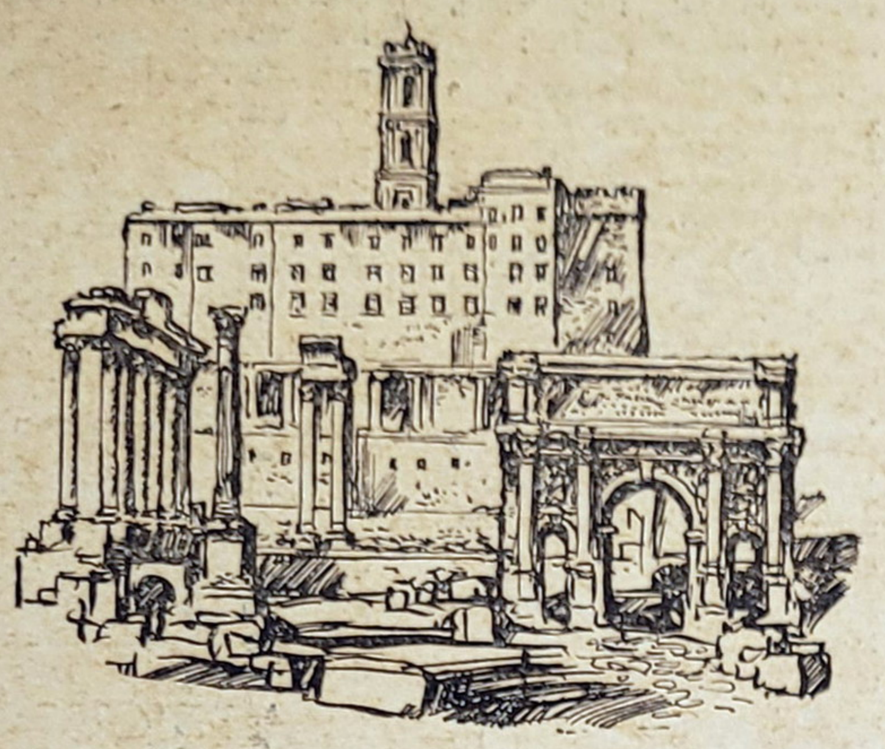

JEST w samym sercu Rzymu wyniosłe skaliste wzgórze, zabudowane gmachami i świątyniami — to Kapitol. W historii miasta oraz całego Imperium Rzymskiego odgrywało to wzgórze rolę sanktuarium.

W czasach zamierzchłych nadtybrzańscy Latynowie zbudowali u stóp skały osiedle. Niepewne sąsiedztwo Etrusków czy Sabinów zmusiło mieszkańców osiedla do umocnienia skały kapitolińskiej zamkiem; wewnątrz murów stanęła niewielka świątynia. U stóp Kapitolu powoli powstawało miasto zwane Rzymem.

Był czas, że gdy Gallowie napadli i zdobyli miasto, zamek się obronił. W trakcie oblężenia napastnicy znaleźli tajne wejście, którym nocą przedostawali się do zamku, lecz święte gęsi, hodowane przy świątyni, zbudziły obrońców — Kapitol został uratowany.

Zamek kapitoliński — rezydencja legendarnych królów rzymskich, takich jak Numa Pompiliusz czy Tarkwiniusz Pyszny — był miejscem niejednego dramatu i tragedii. Urwista Skała Tarpejska przypomina okrutne prawo; strącano z niej zdrajców ojczyzny. Miasto nad Tybrem podbijając prowincje potężniało, wzrastało jednocześnie znaczenie sanktuarium kapitolińskiego. Na miejscu dawnej małej stanęła wspaniała marmurowa świątynia, poświęcona Jowiszowi. Każdy wódz, dyktator czy konsul po zwycięskich wojnach odprawiał uroczysty wjazd do Rzymu, kończąc święto modłami i ofiarami na Kapitolu. Za cesarstwa święte wzgórze nabrało jeszcze większego blasku; świątynię powiększono i upiększono, a dziedziniec zaludnił się posągami.

Wraz z upadkiem cesarstwa stracił znaczenie i Kapitol. Zatriumfowały teraz świątynie chrześcijańskie. Jednakże w średniowieczu znów wzrosło znaczenie wzgórza. Płomienny trybun ludu — Cola Rienzi — założył tu swą rezydencję, a po jego śmierci stąd kierowali losami miasta przedstawiciele potężnych rodów italskich.

W wieku szesnastym zabudował Kapitol Michał Anioł, a jego wspaniałe dzieło przetrwało do dziś. Ojcowie Rzymu uświęcając tradycję tu obrali sobie siedzibę.

Po wielkich schodach wchodzimy na dziedziniec. Witają nas starożytne posągi Kastora i Polluksa oraz piękny posąg cesarza Marka Aureliusza. W głębi symbol miasta, kolumna z wilczycą karmiącą Romulusa i Remusa — legendarnych założycieli Rzymu, a obok klatka z żywą wilczycą kontynuuje piękną zamierzchłą tradycję.

Tekst i rysunek:
MIECZYSŁAW KOŚCIELNIAK

Wielki Rajd „Świata Młodych" wzdłuż Polskiego Wybrzeża

Płonący KAMIEŃ

KIEDY DOCIERAMY przed radiolatarnię morską, na nasz widok pryska w popłochu gromadka harcerek wystrojonych w nienagannie wyprasowane mundurki.

— Twoi czytelnicy wieją — mówi Wika wyciągając z chlebaka lusterko —popatrz jak wyglądasz...

Rzeczywiście. Wydmowe wzgórza między Piaskami a Krynicą zamieniły moje misterne loki w kosmyki. Słońce i wiatr nadały licom purpurową barwę.

— Krynica Morska jeszcze kilkanaście lat temu zwana była „Łysicą" czyli Łysą Górą. Pewnie myślały, że zjechałaś tu na sabat...

— Zjechałyśmy — poprawiam nie bez satysfakcji, stwierdzając, że obie wyglądamy nieszczególnie.

Latarnik zapytany o kierownika również się wycofuje, oglądając nas podejrzliwie. Nim więc nadejdzie pan Józef Janczyszyn, szybko szukam dokumentów.

— Jesteśmy na Rowerowym Rajdzie Reporterów — przedstawiam się. — Słyszałyśmy, że pan ma piękne okazy bursztynów...

Bo mieszkańcy Krynicy zdążyli nam już powiedzieć, że pan Janczyszyn w każdym letnim sezonie otwiera w Radiolatarni wystawę znalezionych przez siebie okruchów „bałtyckiego złota".

Jeszcze chwila i oto w mieszkaniu pana Józefa cofamy się w czasie o 50 milionów — tak! o pięćdziesiąt milionów lat.

GLEZ CZYLI BURSZTYN

UCZENI TWIERDZĄ, że właśnie mniej więcej przed pięćdziesięcioma milionami lat rosły tu bory, których drzewa ociekały żywicą. Żywica kapała na ziemię, krzepła, twardniała. Potem tereny te zalewały morza, zalegały lodowce. A jeszcze później starożytni kupcy wyprawiali się do kraju Wenedów po „płonący kamień".

„Płonący kamień" — czyli bursztyn, to nazwa niemiecka. Określenie „jantar" zapożyczyliśmy od Litwinów. W starym, słowiańskim języku mówiono **glez.**

Do dzisiejszego dnia wioska leżąca nad jeziorem Bukowo, w powiecie Sławno, nosi nazwę Gleźnowo. Dokumenty stwierdzają, że nazywała się tak już w XIII wieku.

Rzymski historyk Tacyt opisując Słowian — Wenedów, do których rzymscy kupcy wyprawiali się po towary, używał wyrazu „glesum" — pisząc o niezwykłym kamieniu, lekkim a przejrzystym wyrzucanym przez wody Bałtyku.

Glez, bursztyn, jantar — frapował uczonych tajemniczymi właściwościami. Niektórzy do dzisiejszego czasu uważają, że bursztynowe korale leczą chorą tarczycę. Inni wierzą, że przynoszą szczęście w miłości. Pewne jest, że bursztyn posiada właściwości elektrostatyczne, a przy tym jest piękny.

„KAPUŚCIAKI" I „SZARAKI"

W KARTONOWYCH PUDŁACH, posegregowane w dziesiątkach kopert, leżą skarby Bałtyku, od półkilogramowej buły, po okruch jak paznokieć.

— To jest „kapuściak" — pan Józef bierze jeden z jasnych kawałków. — „Kapuściaków" o barwie kapusty znajduje się najwięcej, a „szaraków", czyli bursztynów szarych — najmniej. I jedne i drugie różnią się w swoich „rodzinach" odcieniami. Ja sam posiadam zbiór składający się z dwustu różnych barw i odcieni.

Bursztyny pana Janczyszyna są z jednej strony oszlifowane. — Żeby zobaczyć, co kryją w środku, trzeba je podszlifować, czyli zdjąć warstwę zewnętrzną, tak zwaną korę. Kora, to utleniona warstwa o czerwonej barwie.

— O, proszę, tu jest uwięziony komar, a tu muszki. W innym włos sierści jakiegoś zwierza. Tu trawka, a tam... parę drobnych pęcherzyków powietrza, w których pod lupą widać przelewającą się wodę...

Pan Józef Janczyszyn w każdym sezonie urządza w Radiolatarni wystawę bursztynu. Foto: Wiktoria Iljin

TAJEMNICA KAWAŁKA BURSZTYNU

PAN JÓZEF bursztynowemu hobby poświęca każdą wolną chwilę. Po każdym sztormie spotkać go można na morskim brzegu.

— Nie, nie każdy sztorm wyrzuca jantar. Najpierw musi przyjść sztorm północno-wschodni, który zamieni się później w północny wiatr. Kiedy się morze uciszy, a fala denna poruszy piach — tłumaczy pan Janczyszyn — a do tego prąd zachodni nagna fale do brzegu, znaleźć można najpiękniejsze okazy...

Dla zbieracza „najpiękniejsze" nie znaczy wcale największe. Po jednym ze sztormów pan Józef znalazł okruch nie większy od dziesięciozłotówki. Jak każdy znaleziony kawałek, zaczął go szlifować. Nagle oniemiał. Następnie szybko napisał list do Muzeum Ziemi w Warszawie. Bo pan Józef współpracuje z naukowcami. Oni — określają nazwę zwierzątek ukrytych w bursztynie. On — podarował im pięćdziesiąt okazów z żyjątkami i mchami, czyli z „wrostkami" — jak się to fachowo nazywa.

Więc i teraz pan Janczyszyn zawiadomił, że w samym środku znalezionego bursztynu znajduje się kawałek żelaza!

Niestety, nikt jeszcze nie rozszyfrował tej zagadki. Oglądam ten bursztyn. Rzeczywiście wystaje z niego coś na kształt gwoździa.

— Może to odrobina meteorytu wbiła się w świeżą jeszcze żywicę i przetrwała z nią wszystkie chemiczne przeobrażenia — snuje przypuszczenia kierownik krynickiej radiolatarni...

WIESŁAWA MROCZEK

Kalendarzyk Rajdu

3.VI. — godziny przedpołudniowe — Ustronie Morskie. Spotkanie w szkole.

— godziny popołudniowe — Sianożęty. Spotkanie przed domem sołtysa.

4.VI. — godz. 17.00 — Kołobrzeg. Spotkanie w starym forcie, gdzie się mieści „Harcerski Klub Wodny".

6.VI. — godz. 16.00 — Mrzeżyno. Spotkanie przy moście nad rzeką Regą.